



# WIECZORY RODZINNE

Tygodnik Ilustrowany dla Młodzieży i Dzieci.

*Ksiądz Robak w karczmie u Jankiela.*



*Z rys. R. Sawoyńskiego*

Rycina ta jest ilustracją do malowniczego opisu karczmy starego Jankiela w IV księdze „Pana Tadeusza” i odwiedzin kwestarza, księdza Robaka.

„Na stolkach dokoła  
Siedziały chłopcy, chłopki, tudzież szlachta drobna,  
Wszyscy rzędem; ekonom sam siedział z osobna.  
Po rannej mszy w kaplicy, że była niedziela,  
Zabawić się i wypić przyszli do Jankiela.  
Przy każdym już szumiała siwą wódką czarka,  
Ponad wszystkimi z butlą biegała szynkarka.

W środku arendarz Jankiel, w długim aż do ziemi  
Szarafanie, zapiętym haftkami srebrnymi,  
Rękę jedną za czarny pas jedwabny wsadził,  
Drugą poważnie sobie siwą brodę gładził;  
Rzucając w koło okiem, rozkazy wydawał,  
Witał wchodzących gości, przy siedzących stawał,



Zagajając rozmowę, kłótliwych zagadzał,  
Lecz nie służył nikomu, tylko się przechadzał.  
Żyd stary i powszechnie znany z uczciwości,  
Od lat wielu dzierżawił karczmę, a nikt z włości,  
Nikt ze szlachty nie zaniósł nań skargi do dworu.

On pierwszy godził kłótnie, często nawet krwawe,  
Między dwiema karczmami: obie wziął w dzierżawę;  
Szanowali go również i starzy stronnicy  
Horeszkowscy i słudzy sędziego Soplicy.  
On sam powagę umiał utrzymać nad groźnym  
Klucznikiem Horeszkowskim i kłótliwym Woźnym.  
Przed Jankielem tłumili dawne swe urazy:  
Gerwazy groźny ręką, językiem Protazy.  
Dziś miejsce Gerwazego, najdalsze od progu  
Między dwiema ławami, w samym karczmy rogu,  
Zwane *Pokuciem*, kwestarz ksiądz Robak zajmował;  
Jankiel go tam posadził. Widać, że szanował  
Wysoko Bernardyna: bo skoro dostrzegal  
Ubytek w jego szklance, natychmiast podbiegał  
I rozkazał dolewać lipcowego miodu.

Robak, wsparty na stole, wpółgłośno rozmawiał,  
Tłum szlachty go otaczał i uszy nadstawiał,  
I nosa ku księdzowskiej chylił tabakierze;  
Brano z niej, i kichała szlachta, jak moździerz.

## Wspomnienia Pani Łowczyny.

O ELŻBIECIE z KOWALSKICH DRUŻBACKIEJ,

przez

Sewerynę Duchinińską.

(Dalszy ciąg).

— Rzecz dziwna — zawołałam — wicher dmie prze-  
rażliwie, śnieg oblepił suche konary lip i klonów, a pod  
piórem twojem zieleni się murawa, słońko rozwija kwiat  
jabłoni! wiosna żywo staje nam przed oczyma.

— Bo tęsknię za nią — odrzeczę słodko — i obraz  
jej widzę w mej duszy. Wobec pełnego jej rozkwitu, nie  
śmiałybym dotknąć tego, co Bóg nam tak pięknie odma-  
lował!

— Ależ pióro twoje, to także dar zesłany ci od Boga,  
nie wolno go zaniedbywać, Elżuniu.

Skarbnik poparł mnie silnie; odtąd śpiewaczka nasza  
przynosiła nam coraz to nowe kartki. Zbierał je dobry  
ojciec, niby to dla powtórnego odczytania, ale wiem, że je  
odpisywał starannie a potem posyłał bratu swemu do Lwo-  
wa, uczonemu kanonikowi, zagrzebanemu w księgach. Elżu-  
nia nic o tem nie wiedziała.

Zima zesłała nam prędko. W długie wieczory, kiedy  
ogień buchał na kominie, czytaliśmy na głos rymy Jana  
z Czarnolasu i Klonowicza. Skarbnik, biegły w łacinie, po-  
wtarzał nam w przekładzie ustępy z Klimakterów Wespazy-  
zana Kochowskiego. Żałowałyśmy obie, czemu ten pisarz,  
co tak dzielnie władał szabłą i piórem, nie opisał w pol-  
skim języku zapasów z kozactwem, w których czynny brał  
udział za smutnych czasów Jana Kazimierza. Ależ bo na  
język nasz przypadła wtedy ciężka plaga; strzępiony nie-  
smaczną łaciną, niepodobny był do języka Skargi i naszych  
pisarzy z epoki Zygmuntońskiej. Sama tylko Elżunia za-  
chowała jasną barwę i czystość mowy naszej, może dla te-  
go, że łacina była jej prawie obcą.

Zrana po pacierzu, śpiewaczka nasza zasiadała przy  
stoliku z piórem, żaden dzień nie przeszedł jej bez pracy.

Rozszerzyła wtedy rymy o królu Dawidzie; dopełniła,  
wzniosłym obrazem Pokutnika i powieść nakreśloną w Bia-  
łymstoku. Zbiory jej mnożyły się z dniem każdym; niemal  
co wieczór odczytywała nam coś nowego. Skarbnik przy  
trudach gospodarskich nie mógł wydadzić z odpisem lic-  
nych kartek; wezwał mnie tajemnie do pomocy.

Z wiosną puściliśmy się w drogę do Wielkopolski,  
Elżunia pragnęła ukazać rodzicom siednioletnią Urszulkę  
swoją. Smutneż to było powitanie! wkrótce jednak ożywił  
ją pobyt w domowych progach. Mnie ta podróż nie przy-  
niosła pociechy, ale nową okryła żalobą! Biedny mój  
ojciec zaniemógł przez zimę, przed naszym przyjazdem,  
wiosną było mu lepiej, ale gdy przyszły letnie skwary,  
utracił władzę w nogach. Elżunia zamierzała wracać na  
żniwa, została jednak dla mnie; wiedziała, że ją skarbnik  
w gospodarstwie zastąpi.

Gdy przyszła jesień, zamknęłam oczy drogiemu ojcu.  
Skołał pobożnie, błogosławił rodzinę całą. Brat mój Frant  
ciszek, ożeniony przed trzema laty, trzymał dzierżawę, po-  
bliską wioskę, po śmierci ojca, przeniósł się do Zabrzezia.  
młodszy nie opuszczał służby wojskowej, siostra przed laty  
kilku wykonała śluby zakonne.

Droga matka moja zamieszkała w domku, który ojciec  
niegdyś dla mnie urządził. Krzepka i czynna jak dawniej,  
zajmowała się pilnie małym swem gospodarstwem, pieściła  
maleńkie wnuczka.

Elżunia błagała mnie, bym stale przy niej zamieszka-  
ła w Oczerminie.

— Marysiu — mówiła ze łzami — ja tyle ci zawdzię-  
czam. Gdyby nie ty, jużbym nie żyła, albo co gorsze, tyra-  
ła się, jako obłąkana. Nie opuszczaj mnie biednej!

Trudno było odmówić. Skorom jej dała słowo, napi-  
sała do skarbnika z prośbą, by najspieszniej odnowił dla  
mnie domek, tuż przy parkanie, przeznaczony na jakieś  
składy. Poczciwy skarbnik niczego nie zaniedbał. Pod  
okiem jego stanął śliczny dworek o czterech izdebkach,  
potynkowany biało, z zielonemi okiennicami. Ściany głów-  
nej komnatki ozdobiły wizerunki królów naszych: Kazi-  
mierza Wielkiego, ojca kmieci, Jadwigi i Stanisława Le-  
szczyńskiego. Pod oknami kwiaty w doniczkach, miesię-  
czne róże, laki i geranie, na półkach leżały ulubione moje  
książki. Co więcej, poza dworkiem znalazło się miejsce na  
maleńki ogródek, otoczony żywopłotem, już pokrajany  
w grządki do wiosennego posiewu — wysadzony młodemi  
drzewkami; kochana Elżunia odgadła, że jak każdej niewie-  
ście, miło mi będzie posiadać swoje własne gniazdeczko

Była to dla mnie prawdziwa niespodzianka. Rada  
powitałam mój miluchny zakątek. Kilka zaledwie kroków  
dzieliło mnie od drogiej Elżuni. Wieczory spędzałyśmy  
naprzemian, to przy jej, to przy mojem ognisku. Skarbnik  
wiernie nam towarzyszył.

Obie wychowywałyśmy śliczną Urszulkę, która jak  
pączek rozwijała się pod okiem naszym. Prędko ubiegła  
zima, wiosną zajął się pilnie ogródkiem. Maliny i po-  
ziomki, zasadzone jesienią, wydały już owoce; drzewka po-  
kryły się listkami, róże i stokrotki zakwitły już na grząd-  
kach.

Tak mijał rok za rokiem; nie mam co mówić o tych  
czasach, kiedy dzień jeden podobny był do drugiego, a ża-  
dna przygoda nie mąciła ich ciszy. Elżunia odzyskała  
krzepkie siły; krasę młodzieńczą zastąpiła u niej pełna  
wdzięku powaga. Żalobna jej odzież obok prostoty zaw-  
sze była staranna. Z pod białego kornetu wybiegały cie-  
mne włosy, błyszczące gdzieniegdzie srebrnymi niteczkami.  
Jedyną przerwą w tem cichem i pracowitem życiu — sta-  
nowiły co lat parę przejażdżki nasze do Wielkopolski. Pa-  
rę razy i chorążostwo, wydawszy za mąż dwie młodsze cór-  
ki, przybyli nad Wisłokę. Były to istne gody!

\* \* \*

Nadeszła wreszcie chwila bardzo ważna w życiu Elżu-  
ni. Urszulka skończyła lat szesnaście. Dorodna to była  
dzieweczka, z pączka rozwinął się cudny kwiatek. Wiotka



jak trzcina, kibić miała dziwnie kształtną, kruczym włosem i rysami przypominała pana Kazimierza — z wielką pociechą matki. Owoż w tym roku po żniwach, na dzień N. Maryi Panny Siewnej, zjechali chorążostwo, z synem Marcinem, towarzyszył im brat mój starszy, chorążyc Janusz z młodszym bratem moim, którzy służyli w jednym regimencie, przybyć też mieli niebawem. Pocziwy skarbnik krzątał się dziwnie rozradowany. Zgadłam, że ukrywał jakąś tajemnicę, toż nie śmiałam go badać. Przed tygodniem wyjeżdżał do Lwowa, przywiózł stamtąd antałek starego węgrzyna i wielką moc wybórnych prowiantów; potem zaprosił kilku sąsiadów na łowy; ubito w boru dzika, cztery sarny, nie licząc już zajęcy i ptactwa.

— Potrzeba nam uczcić godnie rodziców — mówił skarbnik do Elżuni, — zaprosimy bliższe sąsiedzkie domy, ja sam się tem zajmę — asińdzka ciesz się z rodzicami.

I tak się też stało: Elżunia jak zwykle spełniała wolę ojca.

Nadszedł dzień uroczysty: Skarbnik otoczył dom zielenią, komnaty przyozdobił wieńcami kwiatów, ale i ja mu chętnie pomagałam. Rankiem pojechaliśmy wszyscy do kościoła. Po nabożeństwie przybył pleban, a za nim poczęli zjeżdżać się goście. W przeddzień jeszcze zawitał kanonik ze Lwowa, ksiądz Michał Drużbacki, rzadki gość, oddany badaniu naukowemu.

Odbyła się uczta wspaniała, jakiej dotąd nie bywało w Oczemieniu. Zakrążyły puhary, ale w umiarkowany sposób. Przeszliśmy do sali pięknie ukwieconej. Rozmowa toczyła się swobodna, kiedy rozwarły się podwoje i wszedł uroczystie kanonik; trzymał w ręku wielką księgę, oprawną w złotogłów, spiętą na sprzączkę błyszczącą od drogich kamieni. Stanął poważnie przed Elżunią.

— Dostojna skarbnikowo — rzekł — miła bratanko moja, występuję wobec asińdzki, jako delegat Jego Eminencyi Biskupa Józefa Załuskiego, i innych luminarzy tegoczesnych. Tylko co wróciłem z Warszawy. Zaledwie,

że się tam pojawiły rymy asińdzki, wydane staraniem uczonego Biskupa, wnet imię jej rozbiegło się na wszystkie strony kraju, otoczyło splendorem dwa przeznaczone domy, *Korabitów Kowalskich*, nad Wielkopolską Wartą, i *Lwówianów Drużbackich* na Haliczu. Pomijam wywody, dotyczące dwóch starodawnych rodów; wyliczywszy długo i szeroko położone przez nich zasługi, kanonik złożył w ręce Elżuni wielki wolumin, a z nim list biskupa, skreślony na pergaminie, opatrzony herbową pieczęcią.

Obecni przyklasnęli i w ślad za oratorem wychylili na cześć muzy polskiej puhar starego węgrzyna. Elżunia, błada i drżąca jak listek, nie dowierzała własnym oczom.

— Zkąd te rymy wybiegły na świat? — poszepnęła zdziwiona.

Ja wiedziałam coś o tem, ale nie czas było wdawać się w wyjaśnienia.

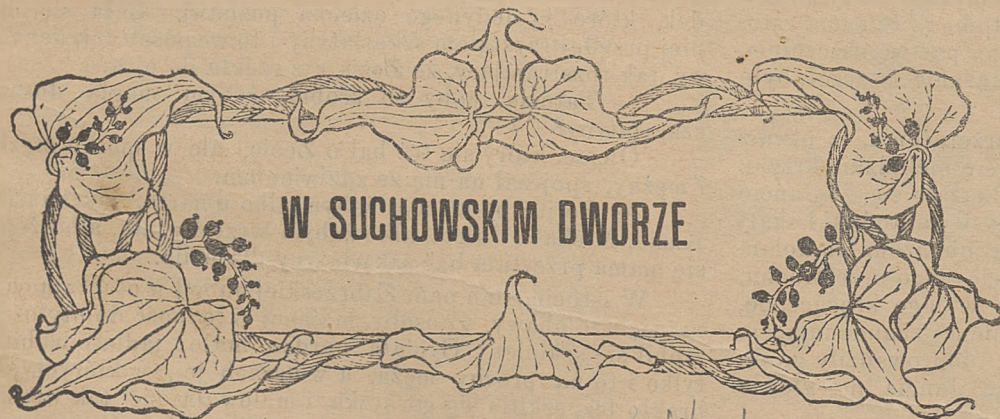
Kanonik odczytał wielce zaszczytny list Biskupa a następnie rymy W. koniuszego litewskiego, księcia Ulryka Radziwiłła. O ile z poszanowaniem słuchali wszyscy listu, o tyle napuszysty panegiryk koniuszego nie mógł trafić do móżgów szlachty polskiej; młodzi gwałtem wstrzymywali się, by nie wybuchnąć pustym śmiechem.

Nastąpiła wieczerza, skarbnik nie posiadał się z radości; wszystko poszło jak z płatka; z rąk do rąk krążyły puhary, na cześć biskupa i innych dostojników; tylko króla Augusta pominięto milczeniem.

Około północy odjechali sąsiedzi, swoi udali się na spoczynek. Elżunia podjęła wielką księgę, poniosła ją do komnatki swojej, rozłożyła na stoliku. Ja wsunęłam się za nią; zrazu nie spostrzegła mnie wcale. Ukryta w cieniu, widzę jak odwraca karty księgi, nad każdą zatrzymuje się chwilę, to lica jej pokraśniają, oko zapłonie, to rękę przyciśnie do czoła, jakby chwytała jaki zerwany wątek. Powstaje wreszcie, chce, jak widać, przez otwarte okno, orzeźwić się nieco chłodem nocnym.

(d. n.)

Zofia Kłowerska.



(Dalszy ciąg).

— Zdzisiu, zostań tu! — wołał pan Chlewiatko. — Ten człowiek idzie podbierać miód. Nie widziałeś nigdy, jak się podbierają pszczoły?

Zadne z dzieci nie widziało tego. Pierwszy rok mieszkali na wsi, dawniej bowiem rodzice ich spędzali zawsze zimę w Warszawie, zaś lato przebywali albo u wód, albo na letniem mieszkaniu, w pobliżu miasta.

— Ale kiedy on niesie w rękę palące się głośnie.

— Właśnie. Chodźmy za nim, a pokażę wam i opowiem, w jaki sposób człowiek zabiera pszczołom ten wyborny miód, który bardzo lubicie. Przybliżmy się do ulów tyle, ile będzie można, bez niebezpieczeństwa.

— Brzydkie stworzenie pszczoła! — ozwała się Alusia. — Przeszłego roku, na letniem mieszkaniu, jedna mię ukąsiła. Od tej pory zniecierliłam je.

— Drogocenne stworzenie i takie nadzwyczajne! — odparł profesor, — pomyślcie dzieci, takie maleństwo, a mające tajemnicę zbierania z kwiatów słodyczy!

— Żeby była pszczoła, to i ja bym potrafiła...

— Przysnaję, że jest bardzo zła, wiecznie rozgniewana, wiecznie gotowa kąsać i bronić się, nawet wtedy gdy nikt nie napada na nią. Ale nie jest podstępna, bo brzęczy i oznajmia z daleka o swojej złości; przytem ogromnie odważna. Idzie bez trwogi na nieprzyjaciela i zwykle życiem swoją śmiałość przypłaca. To żołnierz, który w obronie dobra ogólnego oddaje krew...

— Zna subordynację, i koniec! — wtrącił Zdziś.



— Tak Zdzisiu, w społeczeństwie pszczół jest subordynacja i regulamin istic wojskowy.

— To mi się najbardziej podoba, że składają sąd wojenny i skazują trutniów.

— Patrzcie dzieci, podpalacz Zdzisia zbliża się do ula, położywszy palące się spróchniałe drzewo na ziemi. Ul ma zwykle malutki otwór, którym pszczoły wchodzą i wychodzą, ale dla podebrania miodu, pasiecznik musi wyjąc większą, zalepioną gliną klapę. Patrzcie, podważył ją nożem i wyjął, a teraz dmucha dymem w ul, żeby pszczoły ustąpiły.

— To niegodziwiec, zabierze im to, nad czym się pracowały i co sobie przygotowały na zimę — zawołał Zdziś.

Profesor się uśmiechnął.

— Człowiek okrutnym jest dla zwierząt — rzekł ze smutkiem w głosie. — Zabiera im ich pracę, zabiera im życie..

— Ale niema w tem grzechu — zauważył Józio. — Już kiedy święty Jan na puszczy żył szarańczą i miodem...

Ogrodnik dmuchał wciąż dymem na pszczoły, które brzęcząc opuszczały tłumnie ul, ale wcale za wygranę nie dawały. Powracały natychmiast, gdy się dym przerzedzał i broniły swej własności zawzięcie.

— Już mię pocałowała — rzekł spokojnie ogrodnik, zdejmując z ręki pszczołę, która w jego skórę zapuszczała żądło.

Dzieci w śmiech.

— Dziękuję za taki pocałunek!

— Każdy całuje, jak umie.

— Żądło to sztylet, tylko za mały na zabicie człowieka.

— Sztylet zatruty — rzekła Zosia — bo pozostawia jad.

Ogrodnik krajał w ulu plastry z miodem i układał je na nieckach, ciągle otoczony kłębam dymu i rojem pszczoł brzęczących. Profesor opowiadał dzieciom o zwyczajach pszczół, o ulubionych przez nie roślinach. Wszyscy przyglądali się robocie ogrodnika, gdy nagle za sobą usłyszeli krzyk przeraźliwy Jańcia, zmieszany z krzykiem niańki uciekającej i tak bezprzytomnej, że sama ratowała się ucieczką, a Jańcia zostawiła na pastwę pszczołom, gdyż to zbliżenie się, brzęczenie i kłusanie pszczoł, było powodem przestrachu obojga.

Jańcio stał obezwładniony z przerażenia, z otwartymi ustami, z których wydobywały się nieludzkie krzyki. Wszyscy rzucili się na ratunek. Okazało się, że Jańcio miał dwa żądła utkwione w nóżce. Nosił pantofelki i skarpetki, przyczem widoczne były nóżki obnażone do kolan. Ale nie owe ukąszenia były powodem jego przestrachu. Dwie czy trzy pszczoły zaplątały się w jego kręące się, roztrzepane długie włosy i brzęczeniem, znamionującym zajadłość i niecierpliwą chęć zemsty, doprowadziły go do przerażenia. Trzeba było, uderzając Jańcia po głowie i włosach, pozbawić je życia.

Zosia wzięła braciszka na ręce, tuliła go do siebie, uspokajała. Uczuł się nareszcie bezpiecznym i powoli się utulił, ale zaczerwieniona nóżka bolała go mocno. Wyjęto żądło, przyłożono wilgotną ziemię do miejsc spuchniętych i rozpalonych, pomimo to, czy to w skutek jadu pszczoł, czy w skutek przestrachu, Jańcio dostał gorączki i był naprawdę chory przez noc całą. Zrywał się, płakał, a gdy jeszcze zaczął drapać chorą nóżkę, ból stał się tak silny, że biedny Jańcio rzekł do Zosi:

— Zdaje mi się, że mnie trzeba będzie zastrzelić...

— Zastrzelić? Co Jańcio płocie? — zawołała Zosia.

— Bo ja bardzo cierpię.

— Będziesz zdrów; cierpienie przejdzie..

— A Medorek? — przerwał Jańcio.

Zosia śmiała się, czem oburzyła małego braciszka.

## II.

Dzieci wszystkie były silnie przejęte chorobą Jańcia, nie tyle dla tego, że malec cierpiał (bo nie było przecie żadnego niebezpieczeństwa), ile dla tego, że każda najłżejsza choroba dzieci przyprawiała panią Zabrzeską, nietylko o wielką obawę i trwogę, ale przypominało jej straszne chwile, stojące dotąd ciągle w jej pamięci.

Gdy Zosia miała lat dziewięć i przez kilka tygodni bawiła u babki, czworo jej młodszego rodzeństwa dostało, po kolei, strasznej szkarlatyny i pomimo największego starania żadnego z nich nie uratowano. Dom państwa Zabrzeskich opustoszał nagle, gdyż Zosia wciąż była u babki, a Zdziś przyszedł na świat dopiero w półtrzecia roku po tem strasznem nieszczęściu. Pani Zabrzaska była nieutulona w żalu. Nic jej ani pocieszyć, ani rozerwać nie było w stanie. Po całych dniach przebywała na cmentarzu i zdawało się, że nawet do ocalonej Zosi nie tęskniła. Myślano, że powrót Zosi zdoła ją pocieszyć, obdarto więc wszystkie obicia w mieszkaniu, poskrobano sufity, wymyto i zaprawiono na nowo posadzki, pomalowano ściany, wydezynfekowano wszelkie ubrania i meble, i po kilku tygodniach

przywieziono Zosię. Pani Zabrzaska, patrząc na nią, przypominała sobie jeszcze wyraźniej, zabawy, rozmowy, pieszczoty i miłe słówka utraconych dzieci i w swej rozpacz, nie mogła się obronić myśli, że Zosia też przez śmierć zabraną jej będzie. Bała się o każde jej stąpnienie, zdawało jej się, że jakieś nadzwyczajne niebezpieczeństwa zawieszono są nad głową jedynej córki. Ta ciągnęła obawa była czemś gorszem prawie od rozpacz.

Pani Zabrzaska, wstawała w nocy, by posłuchać oddechu Zosi, upatrywała w pulsie jej gorączkę i była prawie pewna że musi przyjść jakaś choroba, lub straszny wypadek, które ją jedyne dziecko pozbawi. Bała się dla niej przedewszystkiem szkarlatyny i to w sposób tak nerwowy, tak rozstrajający, że Zosia raz rzekła do ojca:

— Tatusiu, coby to zrobić, żebym mogła dostać szkarlatyny?

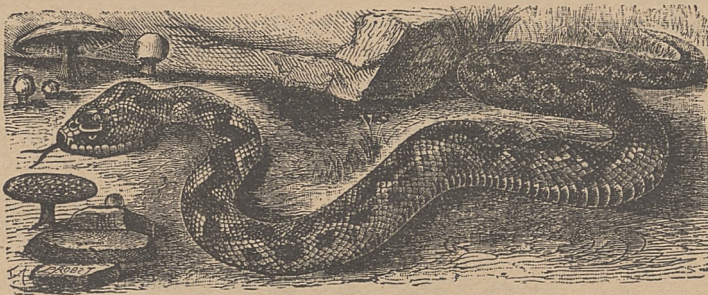
Ojciec, który się też bał o Zosię, ale w sposób mężki i mężny, spojrział na nią ze zdziwieniem.

— Bo już by trzeba, żebym albo umarła, jak Niusia, Kazio, Michaś i Julcia, albo żebym wyzdrowiała, albo żeby się mama przestała bać szkarlatyny dla mnie.

W istocie, stan pani Zabrzeskiej budził w otaczających największe obawy. Z osoby, mającej skłonność do otyłości, zrobił się szkielet. Sypiała bardzo mało, jadła odrobinę tylko i to na prośby męża, a w oczach jej, w których już brakło łez, szkliła się gorączka i malowała się tak wielka rozpacz, że nawet obcy ludzie patrzeli na nią z poszanowaniem i uczuciem grozy.

Zosi się zdawało, że ta rozpacz matki, to jest coś świętego, około czego trzeba chodzić z obawą i czcią. Spowaźniała więc, przestała się bawić jak dziecko, zajęła się gospodarstwem domowem, o którym pani Zabrzaska myśleć nie była w stanie, była wciąż na usługi ojca, a o potrzebach matki myślała w sposób istic macierzyński.

W półtrzecia roku po owym niezapomnianym ciosie, przyszedł na świat Zdziś, ale maleństwo nie obudziło zrazu nadziei i chęci do życia w zbolałem sercu matki. Otacza-



Żmija.



jący, a szczególnie pan Zabrzęski, zajęci byli wtedy przede wszystkim rozciągnięciem straży w około żony, by do niej nie doszła wieść o panującej w mieście szkarlatynie. W ogóle mąż wszystkie siły wyteżał, aby ratować żonę i mały Zdzisł stanął w domu od razu na drugim planie, więc Zosia, jedenastoletnia zaledwie dziewczynka, stała się jego opiekunką, dozorczynią, jego matką przybraną.

Uczyła się już dużo i miała czas zajęty lekcjami, lecz każdą wolną chwilę, każdą rekreację oddawała Zdzisiowi, który z dniem każdym stawał się miłszy i zabawniejszy. Z bezwładnego prawie niemowlęcia, wyrastał chłopczyzna, śmiejący się i wyciągający do Zosi ręce. Pani Zabrzęska, patrząca na swego synka z uczuciem przedwczesnego bólu. Nie wierzyła, by żył, i w duszy jej, wraz z wdziękiem Zdzisia, rosła obawa o to maleństwo, przed którym było tyle niebezpieczeństw.

(d. c. n.)

B. Dyakowski.

## Węże.

(Dalszy ciąg).

Wąż wodny od czasu do czasu odwiedza wodę, po której pływa i nurkuje wybornie; w razie potrzeby może wytrzymać pod nią nawet pół godziny. Chwyta on tam mniejsze ryby, urozmaicając sobie w ten sposób ucztę lądową.

Nadzwyczaj ciekawe jest karmienie się tego węża, które zresztą odbywa się zupełnie tak samo jak u wszystkich innych węzów. Zęby ich są wogóle zbyt drobne i słabe, aby mogły zmiażdżyć lub pogryść schwytaną zdobycz. Wąż z konieczności musi ją połknąć w całości; skutecznia zaś to dzięki niezwykłej ruchliwości paszczy, która może rozszerzać się tak dalece, że mieszczą się w niej zwierzęta, przewyższające kilka razy otwór jej w zwykłych warunkach.

Rozszerzalność swych paszcz zawdzięczają temu, iż obie szczęki węża, górna i dolna składają się z połówek, połączonych między sobą ruchomo, a nie zrosniętych sztywno, jak u innych zwierząt. Połówki szczęk mogą rozsuwać się na prawo i na lewo, wyciągać się każda osobno naprzód lub cofać, i w ten sposób paszcza przybiera rozmaity kształt i wielkość odpowiednią do zdobyczy, która ma być połknięta.

Złapawszy jakie zwierzę np. żabę, która stanowi najpospolitszy i najulubieńszy jego pokarm, wąż wodny przytrzymuje ją mocno haczykowatemi zębami całej dolnej szczęki i jednej połówki górnej, a jednocześnie podnosi w górę drugą połówkę górnej wysuwa ją naprzód i wpija swe zęby w bardziej oddaloną część ciała żaby. Następnie powtarza to samo z pierwszą połówką górnej szczęki oraz z obiema częściami dolnej i w ten sposób nasuwa paszczę na swą ofiarę, która znika w niej coraz bardziej i wreszcie wpada do przełyku. Posuwanie się jej ułatwia ślina, udzielająca się obficie i czyniąca zdobycz bardziej śliską. W ten sposób wąż jest w stanie połknąć nawet takie zwierzęta, które są znacznie grubsze od niego samego.

W każdym jednak razie takie połknięcie całkowitej zdobyczy nie jest rzeczą łatwą i wymaga, bądź co bądź, wielkiego wysiłku. To też młode węże na połknięcie żaby zużywają przeszło godzinę czasu; starsze załatwiają się z tem w 10 — 15 minut.

W ten sam sposób wędrują do żołądka jaszczurki, myszy, ryby i inne stworzenia; zdobycz jednak koniecznie musi być żywa: padliny wąż wodny nie ruszy za nic. Najadłszy się pokarmu nie pogryzionego, wąż wpada w senność, w rodzaj odrętwienia, gdyż obficie napełniony żołądek uciska płuca i serce, utrudniając oddychanie i krążenie krwi. W takim stanie spędza on kilka lub kilkanaście dni, aż dopóki nie strawi wszystkiego i nie stanie się znów rześkim, ale jednocześnie i głodnym.

Zresztą wąż wodny, jak i wszyscy jego bracia, może znieść głód i obchodzić się bez pokarmu nadzwyczaj długo, nieraz po miesiącu i więcej. Pewien przyrodnik, nazwiskiem Herklotz, miał węza, który nic nie jadł w ciągu 311 dni, pijąc tylko wodę. Jest to bardzo zbawienna zdolność dla stworzeń, które nie są w stanie uganiać się rączo za zdobyczą i nieraz przez cały dzień, a nawet tydzień nie mogą nic upolować.

Wogóle życie węża płynie ociężale i jednostajnie; gdy ciepło, wygrzewa się w słońcu i łapie zdobycz, jaka mu się nawinie; gdy się zrobi nieco zimniej, wpada zaraz w stan odrętwienia i senności, ponieważ krew jego staje się



Wąż Eskulap (u góry). Miedzianka (u dołu).



wówczas zimniejszą i nie ogrzewa należycie ciała, które wskutek tego robi się ociężałe i niezdolne do ruchów. W jesieni, gdy już chłody ustala się na dobre, węże wpadają w sen zimowy, ukrywając się uprzednio w bezpiecznej kryjówce, i nie wychodzą stamtąd aż na wiosnę, w końcu marca lub kwietnia, kiedy słońce zacznie silnie przygrzewać i podniesie temperaturę ich krwi.

Jedną z pierwszych czynności węża po obudzeniu się jest zrzucenie starej skóry, a właściwie naskórka, to jest cieniutkiej zewnętrznej warstwy skóry. Zrzucanie zaczyna się od głowy, na której naskórek pęka w okolicy pyszczka. Wówczas wąż wsuwa się w gęste krzaki, albo przeciska się między kamieniami, starając się zaczepić pękniętym naskórkiem o jaki wystający przedmiot. Gdy mu się to uda zrobić, czołga się dalej, a zaczepiony naskórek zsuwa się zeń, wywracając się przy tem lewą stroną na zewnątrz, i pozostaje na ziemi lub na gałązce. Ciekawie wygląda taka zrzuciona „koszula wężowa”, cienka i przezroczysta, a przedstawiająca najdokładniejszy odcisk łusek, pokrywających skórę. Koszule takie znaleźć można dość często, gdyż czynność zrzucania skóry czyli lenienie powtarza się kilka razy w ciągu lata.

Samica węża wodnego składa w początku sierpnia 20 — 30 jaj wielkości gołębic. Jaja te nie mają wcale twardej skorupki, jak u ptaków, lecz są pokryte jedynie miękką białą skórką. Samica składa je w gnoju, pruchniącym drzewie, kupkach liści, wogóle w takich miejscach, w których coś gnije. Czyni to zaś dla tego, że samica nie wysiadaże swych jaj, musi więc w inny sposób zapewnić im niezbędne ciepło. Wiadomo zaś, że wszelkie gnijące kupki trawy, liści lub wiorów rozgrzewają się ogromnie, a więc i jaja mogą mieć w nich należytą ilość ciepła. Niekiedy dla tem lepszego ogrzania jaj, kilka samic składa je razem w jednym miejscu. Pewien rolnik znalazł w swojej stodołę w kupie opilek drzewnych aż 100 jaj węża wodnego.

Po upływie mniej więcej trzech tygodni legną się małe węże, wydostając się z jajek przez otwór, który sobie robią w powlekającej je skoróce. Mają one do 15 centymetrów (6 cali) długości, posiadają już małe zębki i umiają od razu karmić się same. Co prawda, inaczej musiałyby zginąć z głodu, matka bowiem nie troszczy się o nie wcale i nigdy nawet nie zagląda do miejsca, w którym złożyla jaja. Rozwijają się one i rosną bardzo powoli, ale zato żyją długo, po kilka i kilkanaście lat, jak o tem przekonano się na okazach, trzymanych w niewoli. Hodować je bardzo łatwo, gdyż prędko oswajają się i przywiązują do ludzi, są nadzwyczaj łagodne i spokojne.

Mniej pospolitym, ale również nie rzadkim wężem jest miedzianka, znacznie mniejsza, bo mająca zaledwie 65 centymetrów (nieco więcej nad 2 stopy) długości. Ubarwienie jej jest czerwono szare z brunatną plamą w kształcie podkowy na karku i dwoma szeregami również brunatnych plam wzdłuż grzbietu.

Miedzianka ma usposobienie wręcz przeciwne, niż wąż wodny. Do wody nie wchodzi nigdy, a nawet unika lasów i łąk wilgotnych. Zamieszkuje przeważnie okolice suche i słoneczne, porośłe niezbyt gęstymi krzakami; przekłada przy tem miejscowości pagórkowate i góry, nad niziny. Kryjówki wyszukuje sobie w dołkach pod kamieniami tak samo, jak wąż wodny, i równie chętnie wygrzewa się w słońcu. Jest jednak znacznie ruchliwszą i zwinniejszą, a jednocześnie i znacznie mniej łagodną od niego. Zaczepiona nie ucieka jak wąż wodny, lecz podnosi gniewnie głowę i stara się ukąsić napastnika. Wprawdzie miedzianka nie jest wcale jadowita i z tego powodu ukąszenie jej nie grozi żadnym niebezpieczeństwem, nie mniej jednak jej mina rozwścieczona i zawadyackie zachowanie się mogą przerazić niejednego. W niektórych miejscowościach lud zowie ją gniewcem za tę łatwość, z jaką wpada w złość.

Miedzianka żywi się takimi samymi zwierzętami, jak

wąż wodny, ale łapie je zręcznie i zwinniej; połyka zaś i trawi zupełnie tak samo.

Bardzo rzadko spotyka się u nas wąż Eskulap, którego ojczyzną jest Europa południowa. Przewyższa on znacznie wielkością (2 metry) oba opisane wyżej i odróżnia się wyraźnie ubarwieniem żółtawo brunatnem. Przebywa w starych murach, zwaliskach, wydrążeniach skał, a także w górskich lasach i polankach. Żywi się przeważnie myszami. Nadzwyczaj łatwo oswaja się i przywiązuje do ludzi. On to właśnie służył u dawnych Greków za godło Eskulapa, którego nazwę zachował i dzisiaj.

Ze względu na tępienie myszy, wąż ten bywa zaliczany do stworzeń bezwzględnie pożytecznych, czego nie można powiedzieć o dwu poprzednich gatunkach żywiących się głównie żabami i jaszczurkami. Zresztą, jako zwierzęta mało żarłoczne, bardzo rzadko zrzadzają one tak znaczne szkody, aby warto było ogłaszać je za szkodliwe i wypowiadać im wojnę. Inaczej rzecz się ma z jadowitą żmiją, tym jedynym u nas istotnie niebezpiecznym wężem, którego należy tępić wszędzie i zawsze.

Żmija wielkością (65 centymetrów dorównywa miedziance, a i z barwy bywa często do niej podobna tak dalece, iż nieraz nadzwyczaj trudno jest odróżnić oba te węże. I to jest powód dla którego miedziankę uważać należy za niebezpieczną i szkodliwą, oszczędzając ją bowiem można przez omyłkę pozostawić przy życiu żmiję.

(d. c. n.)

## Stefek Luty w Brazylii.

przez

Z. Bukowiecką.

(Dalszy ciąg.)

Znowu „pan”. Stefek rad, jak gdyby go kto na sto koni wsadził. Ale Stefek jest dobrym i uczciwym chłopcem, więc myśli nad tem, jakby oddać przysługę tym biednym ciemniejszym jeszcze od niego ludziom. Słumień uczucie pychy, budzące mu się w sercu i zastanawiał się już tylko, jak pomódz podróżnym.

— *Zehn Minuten Aufenthalt!* — krzyczy konduktor.

Dziesięć minut przystanku to dość długo. Zdażył wybiedz z wagonu i napompować wody. Jakaś przezorna gospodyni wzięła z sobą blaszankę, inna miała dzbanek. Stefek chwycił oba naczynia, precisnął się przez tłum i w jednej chwili był już przy pompie. Towarzysze podróży wyglądali za nim z okien wagonu, podziwiając odwagę naszego bohatera i drząc z obawy, aby nie został na stacyi.

Nie został. Zdażył nawet przypatrzeć się lokomotywie, której okrutnie był ciekawy, i przyniósł wodę spragnionym biedakom. Wdzięczne matki poczęstowały Stefka obwarzankami, a mężczyźni słuchali z uznaniem objaśnień, jakie im dawał „pan”. Objaśnienia te wyczerpały jednak bardzo prędko szczupły zapas wiadomości Stefka. Najtrudniej zwłaszcza było mu odpowiedzieć na pytanie, do jakiej Ameryki należy jechać.

W pojęciu podróżnych Ameryk tych było bardzo wiele. Niekotórzy przeciwnie wyrażali obawę, czy na drugiej półkuli znajdzie się dość miejsca dla tych wychodźców, czy zwłaszcza wszyscy dostaną ziemię na własność.

Ziemi, tej ziemi karmicielki, pragnął każdy, bodajby jak najwięcej, ile tylko zabrać dadzą.

— Żeby było gdzie siać pszenicę, jęczmień, owies, żeby kobieta miała swoje zagony pod kapustę, a bydłatka wygon z dobrą trawą — mówił chłop, jadący od Sierpca, i patrzył niespokojnie w oczy Stefka, czekając potwierdzenia swoich nadziei.



Stefek wyrósł więc w wagonie na wyrocznie i chociaż kłopotą go pytania towarzyszy podróży, choć omdlewał z gorąca i ze znużenia, podróż ta nabierała dla niego uroku. Ale urok przysł w Bremie.

O jakże tam źle, jak strasznie! W starym, opuszczonym i na pół rozwalonym dworcu Bremeńskim mieszka przeszło tysiąc wychodźców polskich. Wszyscy czekają na okręt Ludzie, stłoczeni jak stado bydła, żyją na barłogu, brudni, nędźnie żywieni, oszukiwani przez przekupniów. Plaga emigranta to handlarz. Namawiają ciemnych biedaków do kupowania przedmiotów jakoby nieodzownych w podróży i wyłudniają od kolonistów ostatni grosz. Żaden z nich nie widział jeszcze morza ale, opowiadają sobie o niem niesłychane rzeczy.

— Smoki pływają po morzu, jak gęsi po stawie — prawi jakiś wyrostek, a słuchające go kobiety zawodzą płaczem. Połowa tych biedaków wróciłaby do domu, do rodzinnej wioski, gdzie ich rozumiano, gdzie mówiono do nich ludzkim językiem. Ale za co wrócić? Tu przynajmniej żywieni są darmo. Jedzenie nawet nie jest tak złe, oóż kiedy inne zupełnie niż to, do którego przywykli w domu.

Dom, ach dom! Nędzna była ta chata, z której wyszedł biedak, emigrujący za chlebem do Ameryki. Ale szumiąca nad nią grusza, którą jeszcze ojciec dziadusia sadził, ale wieczorem rechotały żaby w stawie, klekotał bocian na gnieździe, jaskółki uganiały się za muchami. A w Bremie Niemiec szwargocze i wymyśla, tęsknota do swoich targa sercem, a ludzie straszą morzem, straszą żółtą febrą, mówią że dzieciśka nie wytrzymają drogi.

— Ja rodzona matka na zatracenie je wywlokłam — szlocha jakaś kobieta, tuląc do piersi chore dziecko.

Kto raz widział wychodźców polskich w Bremie, ten zrozumie, że tylko nędza i upodlenie ciemnoty poruszyć mogły z legowisk szary tłum dusz ludzkich.

Na kim spoczywa odpowiedzialność za wędrówkę istot bezbronnych, nie zdających sobie sprawy z tego, na co się narażają i co w zamian dostać mogą?

Trudno odpowiedzieć na to pytanie. Ale zapamiętajcie sobie tylko jedną prawdę: że zbiorowemu nieszczęściu winne są zazwyczaj setki, może tysiące ludzi. Któż zgadnie, czyja kropla przeważała szalę. W obec sprawy obchodzącej cały kraj, każdy z sumieniem rachować się musi. Pomyślcie wy, wsi synowie, czy wracając do domu na wakacje przywieźliście czeladzi chociaż jedną książkę, która rozjaśniłaby umysł, ostrzegła przed niebezpieczeństwem. Pomyślcie, wy dzieci zamożnych rodziców, czy zaszłyście kiedy do suteryn, czy wiecie, co się w nich dzieje chociaż macie je pod waszymi stopami? Może dobrą wolą ostrzeglibyście nierozważnego chłopca od wędrówki w nieznaną świat, jak wywędrował Stefan Luty, jak idzie tylu innych.

A czy zapytaliście kiedy rodziców, ile ludności wychodzi rocznie w świat za chlebem?

Ja wam odpowiem.

Trudno oznaczyć stałą cyfrę emigrujących, ale są lata w których dochodzi ona do czterdziestu, a niekiedy nawet do pięćdziesięciu tysięcy.

To tłum, prawda?

A teraz drugie pytanie: Kto prowadzi ten tłum?

Nikt, albo prawie nikt. Trudno temu uwierzyć a jednak jest niezawodnie.

Kiedy jesienią odlatują od nas na południe bociany, jaskółki, to jest ład w ich pochodzie. Bociany zgromadzają się na wiece, klucze żorawi ciągną zwartym szeregami, jaskółki i przepiórki wiedzą, że aby przelecieć morze, czekać należy pomyślnego wiatru, który przeniesie ptaki na drugi brzeg.

Ale co wie chłop emigrujący do Ameryki? Nic, lub prawie nic. To też nędza tych biedaków nie ma granic. A jednak nasi robotnicy pracują dobrze, a żądają w zamian za pracę bardzo mało. Mają na drugiej półkuli znaleźć chleb i lepszy byt tylko trzeba im pomódz dobrą radą, trzeba „nieumiejętnych nauczać”. Pamiętajcie o tem.

Emigracya do Ameryki nie jest zjawiskiem czysto polskim, istnieje w całej Europie, bo wszędzie znajdują się ludzie, pragnący poprawić swój byt. Ale ludzie ci odebrali elementarne wykształcenie, podczas gdy kolonista nie umie najczęściej ani pisać ani nawet czytać. Oszukują go też i wyzyskują bez miłosierdzia wszyscy.

Stefan Luty odnalazł w Bremie Wojciecha Skibę, ale Skiba stracił rezon z jakim przemawiał na popasie w Goślinie. Inna to rzecz wybierać się w podróż a inna stanąć u pierwszego jej celu. Agieńci, werbujący wychodźców do Ameryki obiecywali chłopom złote góry.

— Aby dojechać do Bremy — mówili, potem pójdzie wszystko jak z płatka.

Wojciech wierzył ich słowom, a tymczasem w Bremie właśnie zaczęło się prawdziwe piekło dla wychodźców. Jadąc koleją nie czuli, że są na obcej ziemi, dopiero wysiadłszy z pociągu znaleźli się wśród ludności niemieckiej, gardzącej polskim wieśniakiem. Mówiono im, że w Ameryce panuje równość, ale tymczasem pomiatano biedakami, jak wiatr pomiatą śmietniskiem.

Skiba patrzył z żalem na swoją gromadę, bo jego towarzyszmom działo się źle. Troje najmłodszych dzieci umarło, jedna z kobiet dostała gorączki, a mężczyźni kiwali głowami, zgorzzeni. Tyle złego co w Bremie nie widzieli nigdy.

— Boże broń od pokusy — mówili, wątpiąc czy Bóg pomódz zechce przedsięwzięciu, w którym biorą udział zatraceni i grzesznicy.

Spotykano takich na każdym kroku. Wyrzutki społeczeństwa, uciekający przed karą, przybywają ze wszystkich stron do portów morskich. Dążą za ocean, a nim wypłyną operują ptaszki między dobrodusznymi emigrantami. Zdarzali się wśród nich ludzie względnie zamożni i na tych rabusie zwracali baczną uwagę, okradając biedaków bez ceremonii, lub wyłudzając od nich pieniądze pod różnemi pozorami. Karty grały tu naturalnie największą rolę.

— Macie szczęście gospodarzu, spróbujcie tylko, możecie wygrać tysiące — kusił chłopów sprytny żydek z Poznania, który umiał po polsku.

Kuszono i Stefana. Pokusa była tem cięższa, że chłopiec nie miał już ani grosza w kieszeni, a dokoła emigracyjnego baraku rozstawili kupcy swe budy. Tu teatr maryonetek, tam menażerya, dalej olbrzym obok karła, to znów ciele o sześciu nogach. A cóż mówić o teatrze małym, które dają przedstawienie jak prawdziwi aktorowie.

Albo dzicy ludzie, pokazujący sztuki z węzami? Któż nie byłby tego ciekawy? A bramin, przepowiadający przyszłość wychodźcom. Czasu nie starczy wyliczać wszystkiego

Za marne parę trojaków można widzieć dziwa i słyszeć cuda. Ale Stefan nie miał ani grosza w kieszeni. Chodził więc tylko od budy do budy, pożerając oczyma szczęśliwców, posiadających pieniądze. Otwierały się przed nimi drzwi teatrów, podnosiły zasłony ukrywające dziwy pięciu części świata.

Bohater nasz nie zniechęcał się jednak, nie ustawał w oglądaniu zamkniętych dla niego przybytków piękna, bo weselej tu było niż w baraku, wśród płaczu dzieci, lamentu kobiet i ponurych twarzy wychodźców.

Szedł więc rankiem pomiędzy płóciennymi budami kiedy schwycił go ktoś nagle za rękę. Obejrzał się stał przed nim Indianin z czarnymi włosami upiętymi wysoko. Był ubrany w czerwoną spodniczkę, czerwone i żółte pióra sterczały mu nad czołem.

— Stefek! nie poznajesz mnie? — zawołał najczystsza polszczyzną.

Stefek cofnął się w tył, przerażony. Gdzie i kiedy mógł znać dzikiego człowieka, który wyszczerzał zęby jak gdyby ostrzył je na ludzkim mięsie.

Indianin wsunął czerwoną łapę pod ramię naszego bohatera i aż kładł się od śmiechu, widząc jego wystraszoną twarz.



## MYŚLI I ZDANIA.

Pewnego razu dworacy Filipa Macedońskiego radzili mu, aby skazał na wygnanie człowieka, który źle o nim mówił. Filip odpowiedział: — Nie uczynię tego, bo będzie mówił o mnie jeszcze gorzej.

\*

Temistokles, wysłany z Aten na wyspę Andros po pieniądze na prowadzenie wojny ze Spartą, wszedł na radę i wyjawiał cel swego przybycia, lecz znajdując opór, rzekł:

— Andryanie! na poparcie mego żądania przyprowadzam z sobą dwa bóstwa: *Łagodną namowę* i *Silę*, wybierajcie teraz, z którym chcecie mieć do czynienia.

Na to Andryanie odpowiedzieli bez namysłu:

— Temistoklesie! na odparcie twego żądania mamy również dwóch opiekunów: *Ubóstwo* i *niepodobieństwo*, chciejże i ty wybrać, z którym wolisz traktować.

\*

Porządek potrzebuje trzech sług: woli, uwagi i stałości.

## ZE ŚWIATA.

**Jan Bloch.** Dnia 6-go stycznia zmarł w Warszawie ś. p. Jan Bloch, jeden z wybitniejszych działaczy społecznych ostatniej doby. Urodzony w Radomiu w r. 1836, ukończył gimnazjum realne warszawskie, poczem dzięki swym zdolnościom i przedsiębiorczości w niedługim stosunkowo czasie dorobił się znacznego majątku i doszedł do wysokiego stanowiska, budując wiele kolei żelaznych i biorąc czynny udział w zakładaniu rozmaitych poważnych instytucji finansowych i ekonomicznych.

Nie ograniczając się jedynie działalnością praktyczną, Bloch opracował wiele cennych dzieł o sprawach kolejowych, o rolnictwie, przemyśle fabrycznym i innych, dotyczących bogactwa kraju i ludności. Najważniejszą jednak z jego prac, znaną na całym świecie ucywilizowanym, jest dzieło p. t. „Przyszła wojna,” w którym, jako gorliwy zwolennik pokoju, wykazuje wszystkie złe skutki przyszłej wojny europejskiej i dowodzi, że byłaby złągłą również dla zwyciężonych i zwycięzców, pozbawiając życia miliony ludzi, niszcząc całe kraje i ich dobrobyt na długie lata. Zmarły, poczynił bardzo znaczne zapisy na cele dobroczynne, między innymi na utworzenie specjalnej instytucji dla dzieci i na stypendya dla studentów Politechniki w Warszawie.

**Wypadek z elektrycznością.** Pismo francuskie „Revue Scientifique” zamieściło niedawno ciekawy artykuł, o wypadku jaki spotkał p. Andrzeja Broca, uczonego francuskiego fizyka. Skutkiem przypadkowego zetknięcia się z działaniem prądu elektrycznego w Paryżu, p. Broca omal nie został zabity i uratowała go tylko przytomność umysłu asystenta, który w przeciągu trzech sekund prąd przerwał. Prąd miał napięcie 110 *Volt*, co wystarczyło do wytworze-

nia ciągłego wyładowywania elektryczności pomiędzy dwoma o 6 centm oddalonymi drutami. Broca, który trzymał dwa wielkie elektrody w rękach, został powalony na ziemię, skutkiem ogólnego skurczu mięśni; miał jednak jeszcze tyle czasu, że energicznym wysiłkiem puścił elektrody. Niezwłocznie przypomniał sobie doświadczenia innych badaczy, i pomyślał: — To jest skutek działania prądu, moje serce przestaje bić, jestem zgubiony. — Usiłował jeszcze zawołać do asystenta: — Przetnij drut, — lecz zdołał już tylko wydać okrzyk niezrozumiały. Leżąc na ziemi utracił poczucie rąk, przyczem zdawało mu się, że ściany pokoju pochylały się ku niemu i zabarwiły się na zielono, poczem utracił zupełnie przytomność. Asystent tymczasem przeciął drut i podniósł obojętnego, który niebawem przytomność odzyskał. Broca nie czuł bólów, lecz ogarnęło go uczucie nieopisanego obawy. Mógł chodzić, ale zdawało mu się, że ma tylko głowę i nogi, a pozbawiony jest kądłuba i rąk. Usiłował poruszyć rękami — były zupełnie bezwładne. Gdy asystent dotknął jego dłoni, Broca odczuł przejmujące zimno. Asystent począł go szczypać mocno, czego znów Broca nie odczuł wcale. Wrażliwość mięśni znikła zupełnie. Po czterech minutach wróciły ruchy w stawach łokciowych, a w kwadrans później mógł już Broca jako tako poruszać palcami; z wielką trudnością zdołał napisać jeden wyraz. Wrażliwość skóry i mięśni wracała wolno. Uczucie niesłychanego zimna trwało przez pół godziny. Potem napadło go gwałtowne bicie serca, puls był gorączkowy, to znów ustawał zupełnie; straszny ten stan trwał trzy kwadransy. Następnego jeszcze dnia czuł się Broca jak zbity, i dopiero w 48 godzin po wypadku minęły zupełnie wszystkie przykre objawy.

### ZAGADKA.

Są w imieniu mojem: krzak,  
Rzeka, korał, ryba, rak;  
Trunek, drzewo, karty, lak,  
Kilka imion, król i ptak.

### ROZWIĄZANIA DO N-ru 4-go.

Szarady: Ka — po — ty.

### Arytmogryfu:

- 1) Cypryan. 2) Haga. 3) Czwartek. 4) Izys. 5) Elbrus.
- 6) Ćma. 7) Tęcza. 8) Opat. 9) Mimoza. 10) Ósmy. 11) Dożyunki.
- 12) Zakopane.

Chcieć to mózdz.

**Sprostowanie.** W Numerze 26-ym „Wieczorów Rodziny,” z r. zeszłego, w powieści *Róża bez kolców*, Z. Urbanowskiej, wiersz, zaczynający się od słów „Bogataś ziemia nasza,” jest pióra Ireny Mrozowickiej, a nie M. Konopnickiej, jak mylnie wydrukowano w skutek omyłki drukarskiej. Sprostowanie to po dajemy na żądanie autorki.

### PRENUMERATA WYNOŚI:

W WARSZAWIE: rocznie z odnośzeniem do domu rub. 4, z przesyłką pocztową rub. 5 — stosownie do tej ceny półroczna i kwartalna.

W Austrii rocznie koron 13. — W Prusach: rocznie mar. 12.

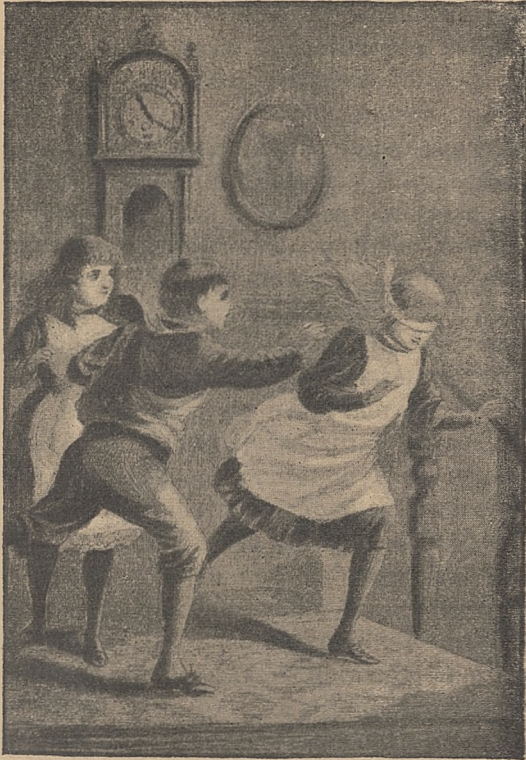
ADRES REDAKCYI, ULICA MAZOWIECKA NR. 10.

**TREŚĆ:** Książd Robak w karczmie u Jankiela, wiersz (z ryc.) — Wspomnienia pani Łowczyzny o Elżbiecie z Kowalskich Drużbackiej, przez Sewerynę Duchinińską. — W Suchowskim dworze, przez Zofię Kowerską. — Węże, przez B. Dyakowskiego (z ryc.) — Stefek Luty w Brazylii, przez Z. Bukowiecką. — Ze świata. — Łamigłówni i rozwiązania. — Dodatek: Maruda, wiersz przez Helenę Bojarską (z ryc.) — Z życia sławnych ludzi. — Rozmowa z mamą. — Poselstwo z krainy czarów, opowiedział B. Buyno. — Łamigłówni i rozwiązania. — Skrzynka do listów. Dodatek książkowy: Dworzanin królewicza Jakóba, przez Teresę Jadwigę.

Redaktorka Ludwika Hauke. Доволено Цензурою. Варшава 21 Января 1902 г. Wydawczynie Marya z Chomętowskich Balińska.

W drukarni Noskowskiego, Warecka Nr. 15.





Przytomny Władzio.



ie gniewaj się, Zosiu, że niechący stłukłem twoją lalkę.

— Szkaradny z ciebie chłopiec; pewna jestem, że umyślnie to zrobiłeś! Nigdy ci tego nie zapomnę.

I Zosia z gniewem odwróciła się od brata, który szczerze żałował mimowolnie wyrządzonej szkody. Starsza o rok od Zosi Marynia, lubiąca spokój i zgodę, dla rozweselenia zasmuconej Zosi zaproponowała grę w „ślepią babkę,” niebawem też dziewczynka wśród wesołej zabawy zapomniała o zmartwieniu, goniąc z zawiązanymi oczami brata i siostrę.

Na nieszczęście, dzieci zapomniały zamknąć drzwi, wychodzące na schody. Zosia w zapędzie gonitwy biegła wprost na nie, i już tylko krok jeden dzielił ją od nich, gdy przytomny Władzio, widząc niebezpieczeństwo, przyskoczył prędko, pochwycił siostrę i powstrzymał od groźnego upadku.

Zosia myślała zrazu, że brat znów się jej sprzeciwia i przeszkadza w złapaniu kogoś z uciekających, miała

ochotę się rozgniewać, ale gdy zdjęła przepaskę z oczu i zobaczyła, że stoi nad schodami, rzuciła się bratu na szyję, zaczęła go całować i przepraszać, mówiąc:

— Już nigdy, Władziu, nie nazwę cię szkaradnym chłopcem i będę wyrozumiała na szkody wyrządzone mi niechący.

### Z księgi przysłów.

#### VI.

Polcio dumna to figura,  
Głowę nosi wciąż wysoko  
I na wszystkich dookoła,  
Pogardliwe rzuca oko.

Wszystko głupstwem jest dla niego,  
Co kto robi, co kto powie,  
Choć sam znowu nie wykazał  
Nadmiaru mądrości w głowie.

Ejże Polciu, tak stanowczo  
Nie potępij znów wszystkiego,  
Wzrok wzgardliwy, dumna mina  
Od drwin ciebie nie ustrzegą,

Bo nuż zechce kto do ciebie,  
Zastosować to przysłowie:  
*Kłos, co ziarna nie zawiera,  
Dumnie w górę łeb zadziera!*

Luch.

### Z życia sławnych ludzi.

(Dokończenie).

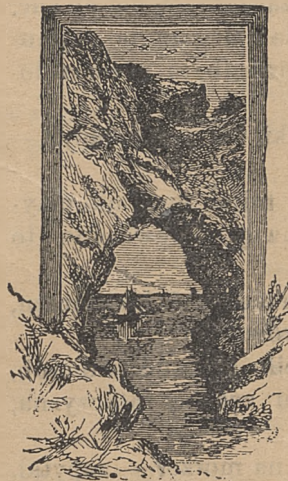
— Ale poco brałeś, moje dziecko, to źle, to bardzo źle...

— Złodziej zawsze mówi, że tylko bierze — powiedziała gniewnie pani — zabieraj manatki i wynoś się natychmiast.

— Pójdę, ale wpiery muszę się wytłomaczyć — mówił chłopiec ze łzami w oczach.

— Tu niema żadnego tłomaczenia! — dumnie odezwała się kupcowa — jesteś złodziejem i rzecz skończona.

— Właśnie, że nie — rzekł Jakób stanowczo — szyling był u mnie, bo go wziąłem, a wła-





ściwie mówiąc zamieniłem, kładąc w to miejsce inny, mniej błyszczący — gdyż ten chciałem ofiarować mojej siostrzyczce.

— Kłamiesz! — zawołała znów pani, — w kasie brakuje szylinga, więc widocznie zapomniałeś swego włożyć — dodała z pewną złościwością.

— Włożyłem, proszę dobrze przeliczyć, a znajdzie się z pewnością.

— Zobaczmy, zobaczmy — mówiła pani — przelicz, mężu, przy nim, to się zaraz pokaże.

— Boże, mój Boże! — mówił ze smutkiem Jakób — ja mam być złodziejem, nędznikiem! ale nie odchodził, czekając na rezultat obliczenia.

— Jest szyling! jest! tu w dolnej szufladce — zawołał uradowany kupiec.

— Co! jest! — zapytała kupcowa z pomieszaniami.

— A widzi pani, jak to źle ludzi posądzać — odezwał się Jakób — proszę się teraz ze mną obrachować a wyjdę natychmiast, i moja noga więcej tu nie postanie.

— Nie gniewaj się, Jakóbku, proszę cię, ty wiesz, że jestem prędką, ale później żałuję nieraz tego, com powiedziała w uniesieniu...

— Za wielką krzywdę wyrządziła mi pani dzisiaj, zostać tu nie mogę, proszę przejrzeć moje rzeczy, czy znów czego nie przywłaszczyłem sobie...

— Jakieżś ty zawzięty, mój Jakóbku — mówiła pani z żalem i prośbą — zostań, proszę cię!

— Nie mogę — odrzekł z mocą, ucałował rękę pryncypała, patrzącego nań ze współczuciem i wyszedł.

Ale gdzie miał się udać? Rodzicom nie chciał być ciężarem, u ludzi zaś obcych szukać pomocy, czy to wypada? Nie.

Jego ambicya nie pozwalała na to.

— Ha! — pomyślał sobie — Bóg jest nademną. On mnie nie opuści.

Gdy zmęczony usiadł na kamieniu, spostrzegł zbliżającego się księdza proboszcza, który odezwał się do niego łagodnie.

— Cóżś taki smutny, mój chłopcze, czy masz jakie zmartwienie, powiedz, a może ci w czym ulżę, lub dopomogę.

Jakób z całą szczerością opowiedział wszystko.

— Może najlepiej byłoby wrócić do kupca, u którego pracowałeś dotąd — radził ksiądz.

— O! za nic w świecie! — zawołał Jakób — tam zrobili mnie złodziejem! — dodał, i zaczął rzewnie płakać.

— Nie chcesz, mój synu, ja nie nalegam, bo pojmuję żal, jaki czujesz, ale w czemże mógłbym ci teraz pomóc?

— Może mógłbym dostać jaki list polecający? — odezwał się nieśmiało Jakób.

— Dobrze, mój kochany, to mi na myśl nie przyszło — dam ci list do pani Walterowej w Newcastle, to bardzo zacna osoba.

Nazajutrz chłopczyna stanął przed wielkim domem, w którym mieszkała rodzina Walterów.

W obszernem podwórzu kręciło się mnóstwo osób, majstrów i robotników, w pośrodku zaś stał mężczyzna, wydając rozkazy i rozporządzenia.

— Więc dziś puszczacie się na morze? — zapytał, gdy jakiś majtek zbliżył się do niego z niskim ukłonem.

— Tak panie, z pomocą Boską, ale mamy kłopot, bo nam umarł chłopiec okrętowy.

— To mnie weźcie, bardzo proszę — rzekł, podchodząc Jakób — ja się będę dobrze sprawował, a takbym chciał zostać marynarzem.

— Bardzo pięknie! — rzekł poważny pan — ale któż ty jesteś i skąd się tu wziąłeś?

Jakób; oddając list proboszcza, mówił jednym tchem:

— Jestem Jakób Cook, mam lat trzynaście, ojciec mój..

— Dosyć, dosyć — rzekł pan, przerywając ten potok słów — pismo mego przyjaciela wystarcza, przyjmuję cię zaraz do służby.

— Macie oto chłopca okrętowego — powiedział, zwracając się do majtka i wskazując mu Jakóbka — miejcie o nim staranie.

Tak więc Jakób Cook został marynarzem — po siedmiu latach służby został majtkiem, później zaś podmajstrzym okrętowym.

Ponieważ odznaczał się zawsze gorliwością i sumiennością w spełnianiu obowiązków, przeto szedł coraz wyżej, a przytem kształcił się i rozwijał umysłowo — starannie uczył się astronomii i geometryi, zwrócił na siebie uwagę zwierzchności przez narysowanie dokładnej mapy rzeki Św. Wawrzyńca w Ameryce północnej.

Jako żeglarz bardzo wiele podróżował, jako geograf rysował mapy różnych, mało znanych, lub nieznanych dotąd miejscowości, badał zaćmienia słońca; słowem nie ustawał w pożytecznej dla ogółu pracy. Zostawszy kapitanem okrętu, powrócił do ojczyzny — wslawiwszy się bardzo napisaniem kilku dzieł naukowych, a mianowicie: „O przyływie i odpływie morza.” „O zdrowiu w długich podróżach morskich.” „O żywieniu się ludzi w czasie podróży morskiej” i t. p.

Po odbyciu dwóch podróży naokoło świata w r. 1776 Cook udał się w nową podróż, a w r. 1779 stanął na jednej z wysp, należącej do archipelagu Sandwichskiego. Tu, mając lat 50, poniósł śmierć z rąk złośliwych krajowców. Poszło podobno o jakąś łódź okrętową, którą krajowcy przywłaszczyli sobie nieprawnie, a którą Cook starał się odebrać.

Dowiedziawszy się o śmierci Cooka, cała Anglia przywdziała żalobę, a wdowie po nim pozostałej rząd wyznaczył pensję dosyć znaczną.

Londyńskie Towarzystwo Naukowe wybiło medal na jego pamiątkę.

*Helena Bojarska.*

## POSELSTWO Z KRAINY CZARÓW.

(Dalszy ciąg).

— Smutna to sprawa! — zaczął wróbel. — Jak mogą wieszczki być tak nierozsądne, ażeby..

I frunął z pośpiechem nie dokończywszy zdania, bo ujrzał Czarnego Kota, który z wielkiej radości przewracał koziełki między drzewami, a potem poskoczył ku młodemu modrzewiowi i zaczął na jego korze ostrzyć pazury.

Młody modrzew milczał załęczony. Wtém piękny błękitny ptaszek przefrunął między drzewami.



— Kto to? — szepnął młody modrzew.  
 — Nie wiem! — odszepnął mu stary.  
 — Kto to? powtórzyła sikorka — gdy koło niej prze-  
 fruwał przybysz.

Błękitny ptak nie odpowiedział.

— Kto to? — zawołał Czarny Kot. Kto jest ten  
 piękny, nieznajomy ptaszek?

Niebieski ptak odleciał nie zaczepiony przez nikogo.

### III.

#### Kochana, droga mama.

— Helusia nie zaraz nadejdzie. Będziemy mieli do-  
 syć czasu na złożenie stosu. Ale zabawa zacznie się  
 w najlepsze za jej nadejściem... Do roboty, chłopcy.

Chłopcy wzięli się gorliwie do dzieła. Zbierali su-  
 che gałązki i szyszki po całym lasku, a nawet wybiegli  
 na drogę i zaczęli wyłamywać suche gałązki z krzaków  
 rosnących przy drodze.

Przywódca, wesoły i zręczny chłopczyk, zbudował  
 stos z gałęzi, a potem zaczął go podpalać od spodu.

— Jak tylko zobaczymy Helusię — zawołał — dam  
 wam znak. Weźmiemy się za ręce i będziemy tańczyli  
 w koło ognia, a gdy Helusia będzie już blisko, wydobędę  
 książkę z kieszeni. Czy każdy z was przyniósł z sobą  
 książkę?

— Ja mam: Stary Bazarz, Glińskiego — powiedział  
 jeden z chłopców.

— A ja wziąłem bajki Andersena od Zosi — ode-  
 zwał się drugi.

— Ja mam baśnie z Tysiąca i jednej nocy.

— To dobrze — odpowiedział dowódca. — Musimy  
 zapalić dobry ogień.

— Ale nie zanadto duży, bo zaraz starsze panie na-  
 dejdą i będą wołały, że to niebezpiecznie — powiedział  
 duży chłopak z czerwoną twarzą.

— Otóż masz! idą już jakieś dorosłe osoby — zawo-  
 łał jeden z młodszych.

— Kto one są? Nie znam ich — zrobił uwagę czer-  
 wony.

— To są te panie, które mieszkają w małym domku  
 pod samym lasem — objaśnił inny chłopiec.

Dwie stare kobiety szły w stronę chłopców. Pomimo,  
 że wydawały się bardzo stare, szły żwawym krokiem,  
 a jedna z nich niosła pod płaszczem duże zawiniątko.

— Dobry wieczór kawalerom — przemówiła do  
 chłopców jedna staruszka. — W jakąż to grę się bawicie?

Chłopcy spojrzeli po sobie i po nowoprzybyłych.  
 Paru mruknęło. „Dobry wieczór” reszta uchyliła kape-  
 lusów, ale żaden nie odpowiedział na zapytanie.

— Jacyż to niegrzeczni chłopcy! — przemówiła dru-  
 ga starowina.

Pierwsza zaś zwróciła się do chłopca, który przewo-  
 dził reszcie i powiedziała:

— Powiedz nam, Stasiu, w jaką grę się bawicie, to  
 i my zabawimy się z wami.

Chłopiec zadziwił się, gdy nieznajoma wymówiła  
 jego imię, a usłyszawszy, że te panie chcą się bawić z ni-  
 mi, uśmiechnął się.

— Zdaje mi się, że nasza gra nie spodobałaby się  
 paniom — odrzekł.

— Prawda, że one wyglądają jak czarownice? —  
 szepnął najmłodszy z chłopców do towarzysza.

— Wstydz się! Czarownic niema na świecie — od-  
 parł zapytany. — I nie mów tego, bo mogłyby cię usłyszeć.

— Helusia zaraz nadejdzie, a te panie wścibskie po-  
 psują nam całą zabawę — szepnął chłopak z zuchwałą,  
 czerwoną twarzą.

— Cicho! — odpowiedział Staś.

Ale starowinki odwróciły się, i rozmawiały z sobą  
 z wielkim zajęciem.

— Trzeba na to czasu i cierpliwości — mówiła  
 jedna.

— Nie można żądać od dzieci, żeby były od razu  
 przyjacielskie — dowodziła druga.

W tej samej chwili jeden z chłopców spostrzegł  
 biegnącą Helusię.

— Helusia! Helusia idzie! — zawołał.

Staś rzucił garść suchych paproci na ogień i wszy-  
 scy chłopcy wzięwszy się za ręce, okrążyli ognisko, ska-  
 cząc i śpiewając.

— Może panie zechcą usunąć się trochę na bok! —  
 zawołał Staś. — Moglibyśmy je przypadkiem potrącić...

Oczekiwana dziewczynka dobiegła w tej chwili.

(d. c. n.)

#### ZAGADKA.

Sluchaj dziatwo!  
 Zgłoska w zgłosce!..  
 Znajdziesz łatwo  
 W mieście, w wiosce,  
 I pacholę  
 Ma ją w szkole,  
 A w kościele,  
 Jak ich wiele!

#### ARYTMOGRYF KRYSZTAŁOWY.

uł. Jurand ze Spychowa.

12	Spółgłoska.
3, 9, 1	Rzeka w Europie.
8, 3, 11, 5, 11	Postać z „Quo Vadis.”
12, 9, 11, 5, 2, 16, 7	Współczesny pols. malarz.
4, 5, 2, 8, 7	Skrzydlaty owad.
6, 16, 7	Samogłoska.
7	

Zamiast liczb postawić litery, aby z utworzonych wyrazów  
 rząd środkowy poziomy i pionowy, złożył pseudonym współcze-  
 snej poetki.

#### ROZWIĄZANIA DO N-ru 5.

Zagadki: Łysa — Góra.

#### Zagadki arytmetycznej:

Dwie monety po 5 kop. = 10 kop.  
 Trzy „ po 3 „ = 9 „  
 Sześć „ po 2 „ = 12 „  
 31 kop.

Na 9 jabłek po 3 kop. wydał 27, pozostało mu kop. 4, któ-  
 re rozdał ubogim, było ich więc czterech.





## Skrzynka do listów.

**Czarnuszcze z nad Bugu.** Cieszy mnie, kochana Czarnuszeko, że cię zajęły losy Julka sieroty z Dębowej Woli. Wyspa Atlanta może istniała, ale pod innym nazwiskiem — bo jak to wiesz z listów Janka do Redakcyi Wieczorów królewiczowi zależało na zachowaniu tajemnicy. Nie mogę zatem ci udzielić dokładnych wskazówek, bo ich sama nie miałam. Królewicze podobno wraz z rodzinami i ludnością wyspy, zdołali wszyscy ocalić się przy katastrofie, która zniszczyła Atlantę — o losach zaś Janka, od jego ostatniego listu żadnej nie mieliśmy wieści, pomimo, że czyniliśmy poszukiwania przez korespondentów naszych, w różnych stronach świata. Nie straciliśmy jednak jeszcze nadziei — i jeżeli trafimy na jaki ślad, podzielimy się wiadomością z czytelnikami Wieczorów, a ja może nawet opiszę dla nich dalsze losy młodego bohatera przygód na wyspie tajemniczej.

*Zofia Urbanowska.*

Pewna ciocia Zosia słyszała, że Wieczory Rodzinne czytają z przyjemnością małe Zosie. Do nich ta ciocia odzywa się, prosząc tylko o 15 kop. od każdej Zosi na *Przytulak Św. Zofii*, bo go mogą zamknąć i dużo biednych dziewczynek będzie bardzo nieszczęśliwych. Dajcie Zosie piętnastokopiejki, a Bóg wam to odda, dobre dziewczynki. Namawiajcie swoje znajome bo u każdej 15 kop. się znajdzie. Jedne mają pączki, a inne nawet bułeczki nie mają.

Ciocia Zosia z siostrzeniczką Zosią składają 30 kopiejek.

Sprawozdanie łamigłówek do nagrody „Czarni i Biali” ogłosimy w następnym numerze, bo mogą jeszcze przyjść rozwiązania z dalszych stron.

**P. Irenie Ostrow.** Żądane dwa pisma zaprenumerowaliśmy w księgarni Gebethnera i Wolfa — kosztowały 4 r. 40 k, więc należy się nam jeszcze kop. 40

**Pani E. S. w Szanchaj-huanie.** Żądane książki wysłaliśmy. Redakcja pragnęłaby korespondować z *Zochną* i jej braciem, mieszkającymi tak daleko od kraju.

**Dobre rozwiązania i zadania własnego układu nadęstali:** Stefan J., Złotowłosa, Elutka M., Dzik, Aleksander Ap., Łochozwianka i Czarnuszeko, N 3., Strumyk, Zosia z pod Skalbmierza, Bronisław W., Jadzia N., Oleńka W., Łaszka, Janek Abramowicz Lwica, Henrysia i Lusja z Częstochowy, R. Vetulani, Stokrotka z Łodzi, Teef, Kapka.

**Jadzi Noskowskiej.** Rozwiązanie twoje wraz z innymi złożyłam w redakcyi, ale dopiero w końcu tego miesiąca najlepsze zostanie nagrodzone. Listu od twojej siostry nie otrzymałam, w tych czasach pisała do mnie Niezabudka z nad Bugu, kilka innych pańienek używa podobnego pseudonimu.

Spieszę chętnie z odpowiedzią dla **Konwalii i Niezapominajki**, jeżeli jednak nie będzie ona ani długa, ani barwna, to nie moja wina, bo ja z otrzymanych listów wysnuwam wątek do odpowiedzi, a wasz pierwszy różowy bilecik bardzo jest krótki, mam jednak nadzieję, że z czasem poznamy się lepiej.

**Oleńce Wścibskiej.** Możesz przysłać rozwiązania z każdego numeru i pisywać do mnie tak często, jak tylko masz ochotę. Nie dziwię się, że po świętach ze zdwojoną ochotą zabrałaś się do nauki, umysł wypoczęty łatwiej powraca do pracy, a tylko leniwy po wakacjach mniej chętnie uczy się i pracuje. Wymień brakujące numera dodatków zeszlórocznych, jeżeli znajdują się jeszcze w redakcyi, to ci je przysłemy, nie zapomnij tylko podać dokładnego adresu,

**Ni-to ni-owo.** Nie słyszałam, aby za używane marki dostać można było gdziekolwiek — serwis chiński. Istnieje wprawdzie stowarzyszenie zbierania starych marek pocztowych, ale to

ma za cel zbierania funduszy, przeznaczonych na zapomogę dla Micyonarzy, głoszących Ewangelię św. pomiędzy dzikimi plebionami, fundusze te dają możność zakładania osad chrześcijańskich, będących ogniskami religii i cywilizacji. Powstało ono w roku 1890 w Belgii, a główne jego siedlisko znajduje się w Liège.

**Zosia z pod Skalbmierza** swoim pierwszym tak starannie napisanym liścikiem ucieszyła mnie bardzo, gdyż zawsze chętnie zaznajamiamy się z tymi, którzy okazują nam sympatyę i życzliwość, a właśnie za dowód jej uważam korespondencyą moich młodych przyjaciół i lubię wielce tę piśmienną z nimi pogawędkę. Może i braciśzka namówisz, by się zemną bliżej zapoznał, mam młodszych od niego korespondentów.

**I Niezapominajkę** (Zosię S.) witam dziś, jako nowo przybywającą korespondentkę, ale ponieważ wiele pańienek pisuje pod tym samym pseudonimem, może do nazwy kwiatka dodasz jakie bliższe określenie, dla wyróżnienia od innych. Z listu twego widzę, że musisz być żywa i niezbyt wytrwała, a wiesz, skąd to wnioskuję? Oto pierwsza strona napisana jest równo i porządnie, na drugą i trzecią zabrakło pańience wytrwałości i wydaje się, że inna ręka początek, a inna koniec listu pisała. Że jesteś trochę roztrzępana, wykazują niektóre błędy gramatyczne i znaki pisarskie nieodpowiednio nad literami stawiane. Nie pogniewaj się, że odzywając się po raz pierwszy robię ci uwagi, lecz bądź przekonana, że każda uwaga, lub przyjacielskim napomnieniem kieruje serdecznie dla was życzliwość.

**Niezabudce z nad Bugu.** Twoja 8-letnia rączka stawia już bardzo dobre i równe literki, więc do konkursu kaligrafii będzie już mogła należeć, chociaż piszesz jeszcze ołówkiem. Czy sama czytać już umiesz, czy też mateczka czytuje ci głośno i jaka z powiastek „Wieczorów” podobała ci się najwięcej? Donieś mi też o tem, bo jestem ciekawym ptaszkiem, który wiele rzeczy radby wiedzieć.

Otwieram kopertę: „W Skotynianach” raz, drugi, trzeci i czwarty wyczytuje w nagłówku, z jednego miejsca cztery listy odrazu! Co za kochana, poczciwa gromadka! pomyślałam i czempredziej zabrałam się do odczytywania czterech arkusików leżących na stole.

7-letni **Skowronek** i towarzyszka jego nauk 8-letnia **Różowa Kulka** pisze na swój wiek zupełnie dobrze, ale z waszych krótkich listów nie dowiedziałam się, czego się uczycie, jak się bawicie, może doniesiecie mi o tem następnym razem, bo nie wątpię, że bliższą ze sobą zabierzemy znajomość. Dwie starsze siostrzyczki **Skowronka** — **Konwalia Leśna** i **Podolanka** zaznajamiają mnie z rodziną swą, a chociaż namyślały się od roku by do mnie napisać, teraz obiecują czas stracony powetować i zaliczać się do grona nietylko stałych, lecz i częstych korespondentek. Wdzięczną wam jestem i spełnienia obietnicy oczekuję.

Przyslijcie mi swój adres i nazwisko, listownie zapytam Łochozwiankę i obie Wiselki, czy na żądanie wasze się zgodzą i wtedy na karcie przysłę ich odpowiedź; czy dobrze tak będzie?

**Łaszce.** Przewyciężenie samej siebie jak w większych tak i w mniejszych okolicznościach, jest zawsze godne pochwały, bo dowodzi siły charakteru i panowania nad sobą. Pierwsze litery imienia mego i nazwiska jest J., bo dla was jestem zawsze tylko „Jaskółką”. Nie wiem o jaką Lilię pytasz, bo kilka „Lilijek” pisuje do mnie. Rybitwa z nad Wisły, jak wskazuje sam pseudonim mieszka nad Wisłą, a więc nie w Łodzi.

Nie wiem w jakim wieku jest **Wileński Wróbelek**, ale sądząc po dziesięciu liniach, które do mnie napisał, musi być bardzo maleńki, zaliczam go więc w poczet mych, najmłodszych korespondentów. Donieś mi coś więcej o sobie mój maleńki ptaszku, a staraj się zawsze stawiać równe i ładne literki.

**Strumykowi** odpowiem za tydzień.

Wasza *Jaskółka*